

# Nowakowski Przemysław

## Znikający ślad

Z „Fahrenheit”

Zapadał zmierzch. Juan de Calgo wiedział, że będzie to ostatni wieczór w jego życiu i myśl ta przerażała go niezmiernie. Nieuchronność nadchodzącego kresu nagle stała się namacalna jak podarta koszula, którą miał na sobie od miesiąca. Nie było już ratunku. Bał się. Uciekał więc przed własnym przerażeniem w miłosiernie kojącą otchłań obłędu. Choć to właśnie jego szaleństwo zaprowadziło go do lochu, a już niedługo poprowadzi dalej, w objęcia śmierci. A jednak myśli o tym co dane mu było zobaczyć, pozwalały zapomnieć o strachu i bólu, nie czuć wszechobecnej wilgoci i dojmującego chłodu, ani nawet dusznego smrodu własnych fekaliów. Wiedząc, że pozostały mu tylko godziny, rozpaczliwie szukał jakiegoś śladu, który przyniosłby rozwiązanie trapiącej go zagadki. Jedyne trop, jaki kiedyś posiadał: starą, zużytą mapę, stracił bezpowrotnie. Czas mijał, a on wciąż nie mógł dopasować do siebie poszczególnych części układanki.

### Godz. 9.30. statek Ferenike

- Panie kapitanie! – zawołał pierwszy oficer. – Przed nami majaczy jakiś okręt.
- Podaj mi mój monokl, Gerhardzie. Gdzie się podział ten nieszczęsny Gerhard? – narzekał wysoki mężczyzna, o kruczoczarnych włosach, ubrany w uniform włoskich kupców z Wenecji. Był to Piri Reis, admirał floty tureckiej, który zrezygnował ze służby na dworze sułtana, aby poświęcić się poszukiwaniom złota na Oceanie Indyjskim.
- Tu jest pański monokl, kapitanie – odezwał się usłużnie mały, tęgi człowieczek, którego nazywano Gerhardem. Kapitan niemalże wyrwał mu okular.
- Na Boga! – wykrzyknął. – Toż ja tam widzę krzątających się majtków starego Fokke!
- Co pan opowiada! – Pierwszy przeżegnał się pospiesznie. – Tam nie ma nic poza pustym pokładem. Niech pan nawet nie wymawia imienia tego bluźniercy Fokke.
- Ale ja ich widzę! O tam, na lewo, tam stoi stary Fokke. – Piri Reis wskazał palcem przed siebie. Był tak szczerze zdumiony, że nie zwrócił nawet uwagi na niestosowność protestów swojego oficera.
- Co pan opowiada, kapitanie? – powtórzył marynarz. – Proszę dać mi ten monokl! – Otrzymawszy instrument, przyłożył go do oka. Ledwo zdążył spojrzeć, a cofnął się gwałtownie jakby jakaś nieznana siła pchnęła go w pierś. Na pobludłej nagle twarzy malowało się przerażenie.
- Dobry Boże – wycedził – toż to... Latający Holender – szepnął.
- Gerhardzie, wyrzuć ten monokl natychmiast do morza i podaj mi inny – rozkazał kapitan. Gerhard wrócił po dwóch minutach.
- Oto pański monokl – wręczył Reisowi okular. Ten przytknął go do oka i zaklął cicho. –Philipie, Fokke macha do nas. Chce, abyśmy tam popłynęli – powiedział.
- A więc on istnieje – zabobonnie szepnął marynarz. – Latający Holender istnieje. – Po chwili otrząsnął się.
- Chyba pan go nie posłucha? Nie popłynie za nim? – bez wiary we własne słowa zapytał Philip. Znał Piri Reisa i bez trudu odczytał odpowiedź z wyrazu jego twarzy.
- Wręcz przeciwnie, drogi Philipie. Tam właśnie się udamy – potwierdził obawy marynarza Reis.

### Godz. 11.45 statek Ferenike

Piri Reis stał wpatrzony w legendarny statek. Pokład świecił pustkami. Nie pozostał najmniejszy ślad po krzątającej się załodze. Pograżony w ciszy i bezruchu żaglowiec robił upiorne wrażenie. Reis nie miał wątpliwości co do tego, że był to ten sam okręt, na którym pływał kiedyś Bernard Fokke. Okrutnik i szaleniec, który, jak głośno powtarzane trwożliwym szeptem opowieści, podpisał kiedyś cyrograf z diabłem. Od tamtej pory co pewien czas wyklęty okręt widywany był na bezkresnych wodach, z obłąkanym kapitanem i jego mrówczo pracującą załogą. I nigdy nie zawijał do żadnego portu...

Ciekawość pchała Reisa, chociaż wiedział, że żaden z jego marynarzy nie będzie chciał z nim wejść na przeklęty statek. Kapitan był jednak przekonany, że to jego własna wyobraźnia narysowała cały spektakl w soczewce monokla. Nic nie mogło zatrzymać go już na Ferenike. Tajemnica Latającego Holendra przyciągała zbyt mocno.

### **Godz. 12.30 Latający Holender**

Piri Reis postawił stopę na deskach pokładu z dreszczem przyjemnego podniecenia. Był przekonany, że znajdzie na nim coś, co zmieni całe jego życie na zawsze.

Reis rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł niczego szczególnego, tylko w powietrzu rozchodził się zapach świeżo upieczonego mięsa.

W kajucie kapitana, na stole, leżało mnóstwo papierów i dziennik pokładowy. Piri Reis przerzucił kilka kartek; w zasadzie zapiski kończyły się z dniem, w którym Fokke po raz ostatni wypłynął z portu.

Zadziwiające było jednak, że kolejne kartki również nosiły ślad inkaustu, tyle że nieczytelny. Obok dziennika leżało kilka map. Dwie z nich przedstawiały Europę, ale pozostałe dwie były obrazem lądów nieznanymi kapitanowi Ferenike. Reis chwycił zachłannie jedną mapę, ale ta natychmiast rozpadła się w drobny mak. Na próżno kapitan starał się przypomnieć sobie widniejące na niej konfiguracje mórz i lądów. Pamiętał jedynie, że wyobrażała świat jako koło w sposób mu nieznanymi. Drugą z map Piri Reis potraktował już ostrożniej, nie chcąc, aby spotkał ją los poprzedniej. Podjął więc wszelkie starania, aby zabezpieczyć mapę przed rozpadem. Postanowił utrzymać w tajemnicy przed marynarzami odkrycie, dopóki sam nie zrozumie, co mogą przedstawiać przeróżne kanaliki i zawężenia, naszkicowane na planie koła..

### **Godz. 19.00 kajuta kapitana Ferenike**

Piri Reis raz w życiu przepływał koło Antarktydy. Nigdy wcześniej i nigdy potem nie doświadczył takiego chłodu. Wcześniej w zasadzie byłby gotów zarzekać się, że nie jest możliwe, by było tak zimno. A jednak było.

Jeszcze przed tym rejsiem Piri Reis rozmawiał z pewnym starym bosmanem w rotterdamskiej tawernie i tamten opowiadał mu o lądach skutych lodem, na olbrzymim kontynencie, położonym na południe od Afryki. Według legendy istniał tam niezwykły system kanalików i łąk, nazywany Golkondą Południa. Mieszkańcy tego kontynentu przed wiekami znieważyli swojego boga, a ten w akcie zemsty ściął ich ziemie lodem. Piri Reis nie miał wątpliwości, że mapa, znaleziona na Latającym Holendrze, przedstawiała Antarktydę sprzed czasów, gdy obrażony bóg spuścił na niewierny lud wieczny mróz...

### **Trzy miesiące później. Wenecja.**

Piri Reis od dwóch godzin bezskutecznie wypatrywał swojego dawnego kompana, z którym pływał jeszcze pod banderą turecką. W tawernie powoli robiło się tłoczno, jak na Placu Świętego Marka w dzień odpustu. Do portu przybiło właśnie kilka statków obładowanych cennymi surowcami, toteż nie brakowało marynarzy spragnionych mocnych trunków i chętnych kobiet. Piri Reis lubił towarzystwo ludzi morza, w zasadzie wszystko, co lubił i kochał, w jakiś sposób wiązało się właśnie z morzem. To było całe jego życie. Nie chciał tego tracić przez jakąś mapę, choćby nie wiadomo jak była cenna. Inkwizycja była już na jego tropie. Wprawdzie fakt, że był muzułmaninem mógł go uchronić przed publicznym procesem o herezję, ale nie przed sztyletami skrytobójców.

Kiedy wybiła północ, w tawernie pojawiło się dwóch mężczyzn. Jednego z nich były admirał floty tureckiej wypatrywał zniecierpliwiony, drugiego widział pierwszy raz w życiu.

– Ramon de Vega! – ucieszył się Piri Reis.

– Czołem admirał – powitał go niższy z mężczyzn. – Chciałeś mnie widzieć, więc jestem. A oto szanowny Juan de Calgo, mój przyjaciel, a zarazem powiernik najgłębszych tajemnic – wyjaśnił przybysz. – Nie musisz się go obawiać. Jeśli jesteś w kłopotcie, to może się okazać niezwykle pomocny – dodał.

Obaj mężczyźni zajęli wolne miejsce przy stole.

– Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu, tym bardziej, że moim mogę niedługo przestać się cieszyć. – Kapitan Ferenike postanowił od razu przejść do konkretów. – Czy nie widziałeś nikogo podejrzanego, kiedy wchodziłeś do karczmy?

– Nie, zapewniam cię, że całą drogę zwracaliśmy na to szczególną uwagę, prawda Juanie? Dokładnie tak, jak nakazywałeś w swoim liście.

– Zgadza się – zmysłowym głosem odparł Juan de Calgo.

– To dobrze. Panowie. Chciałem, abyśmy spotkali się w takim miejscu, gdzie nie dopadną mnie ani asasyni kalifa ani namiestnicy watykańscy.

– Co się stało kapitanie? – zapytał Ramon.

Piri Reis pochylił się w stronę obu mężczyzn.

– Odkryłem coś niebywałego podczas mego ostatniego rejsu do Indii – oświadczył.

– Słyszałem dziwne opowieści o twoich wozach. Podobno sprzedałeś duszę diabłu, jak stary Fokke.

Niektórzy marynarze mówią, że majaczysz na jawie – oznajmił de Vega.

Piri Reis przez cały czas jego wypowiedzi kiwał z dezaprobatą głową.

– To nieprawda, mój przyjacielu. Nie słuchaj nieżyczliwych – zaprotestował. – Kiedy usłyszysz, co mi się stało, zapomnisz o swoich lękach i raz jeszcze wejdiesz na pokład statku, aby przeżyć to co ja. Czy ty szanowny De Calgo również jesteś marynarzem?

– Nie, nigdy nie byłem na morzu – odpowiedział mężczyzna – ale chętnie bym się wybrał w dziewiczy rejs, zwłaszcza jeśli wiąże się to z jakąś tajemnicą.

– Moi marynarze mnie zdradzili, więc nie wiem, ile mi jeszcze dni zostało. Wiadomości dotarły już od Stambułu po Watykan. Byłeś ze mną w Stambule Ramonie. Wiesz, jak tam się obchodzą z oskarżonymi o herezje. Nieobce są ci też praktyki inkwizycji. A to, co ja znalazłem, przeczy wszystkim kanonom wiary, które oni tak gorliwie wyznają. Posłuchajcie. Opowiem wam wszystko od początku – zaproponował Piri Reis.

Jego towarzysze zgodnie pochyliłi się w jego kierunku...

### **Pół roku później. Statek Harmonia. Okolice Przylądka Dobrej Nadziei.**

Juan de Calgo oczekiwał na jakiś znak od kilku dni. Zostało mu już tylko czterech marynarzy i potrzebował dużo samozaparcia, aby nie poddać się i nie wrócić do Europy. Zrobiłby to niechybnie, gdyby nie pamięć o tragicznej śmierci Piri Reisa i Ramona de Vegi z ręki wynajętego mordercy. Sam Juan zdołał się obronić, posiadał o wiele więcej umiejętności w tym zakresie niż obaj marynarze. Nie tylko uszedł z życiem, ale i uśmiercił napastnika. Od tamtej chwili zapragnął ponad wszystko poznać prawdę. Co takiego było w zwykłej starej mapie, którą miał teraz w kieszeni swej koszuli, że spowodowała takie poruszenie w najwyższych kręgach władzy Starego Świata. Czy naprawdę ukazywała wrota do innego wymiaru? Juan de Calgo nie był przesądny ani nadmiernie religijny. Ale chciał wiedzieć, a mapa Piri Reisa była do tej wiedzy kluczem. Kapitan Ferenike zarzekł się na wszystkie świętości, że kiedy tylko opuścił Latającego Holendra, okręt zniknął zupełnie z jego pola widzenia. Poza tym tylko on widział na mapie kanałiki i przewężenia. Pozostali członkowie załogi nic nie mogli dostrzec, jakby wszystko było rozmyte. Tylko Piri Reis dostrzegł potem zarysy wielkiego potężnego miasta, kipiącego od złota, tkwiącego dokładnie tam, gdzie powinny być niezmienione od lat lądolody Antarktydy. Nigdy tam nie dotarł. Jego marynarze za nic nie chcieli płynąć we wskazanym kierunku. Kiedy on pocił się w największy upał, oni drżeli z zimna i po kolei zapadali na śmiertelne choroby. W końcu aresztowali własnego kapitana i wrócili do Wenecji. Tam dopiero puścili go wolno.

Nie zwołano trybunału Inkwizycji, nie wezwano Reisa na przesłuchanie, tylko skrycie go zasieczono. De Calgo był pewien, że z Watykanu lub Stambułu wysłano najemnika. Wiedział, że opowieści marynarzy z Ferenike dotarły do władz. Cóż jednak kryło się za tym poruszeniem? Za nagłą śmiercią Reisa? Musiało być to coś wstrząsającego. Ale co? Na to pytanie Juan de Calgo nie potrafił odpowiedzieć, dlatego sfinansował własną wyprawę na Południe. Popłynął po złoto, ale w kieszeni koszuli spoczywała stara mapa, znaleziona na Latającym Holendrze. Juan też dostrzegał na niej wyraźne kontury kanałów.

Dla upewnienia się, czy ta odyseja ma jeszcze sens, Juan de Calgo postanowił raz jeszcze dokładnie rzucić okiem na mapę. Ciężkie wątpliwości ogarnęły jego serce. Nigdy nie wierzył w zjawiska nadprzyrodzone, dopóki nie zobaczył mapy Piri Reisa. Teraz, po dniach nieustannej tułaczki w pobliżu skutej lodem Antarktydy, jego wiara ponownie została nadwątlona. Na początku było mu ciepło, tak jak Reisowi, podczas gdy załoga drżała z zimna, ale później, wraz z upływającym czasem i jemu zaczęły dokuczać skutki obcowania z przeraźliwym mrozem. Załoga chciała zawracać. De Calgo ostrożnie wyjął mapę i rozłożył na stole. Po raz pierwszy, od kiedy trafiła ona w jego ręce, dostrzegł, że była matowa. Widział wprawdzie jeszcze kontury wzniesień, miasta wybudowane na brzegach rzek czy też zielone lasy pokrywające kontynent, ale kolory wyraźnie traciły blask. Mógł to być efekt słabego oświetlenia, ale też mogło okazać się tak, że kierowany niezłomną wiarą zmysły wcześniej tego nie dostrzegł. Juan de Calgo nie chciał ryzykować. Powoli i starannie, najdokładniej jak potrafił, przerysował mapę Piri Reisa do swojego notatnika.

### **Trzy dni później. Statek Harmonia. Ocean Atlantycki.**

Juan de Calgo nie wierzył własnym oczom. Już od wczoraj podświadomie czuł, że cienie na mapie Piri Reisa nie były przypadkowe. Kontury zamazywały się, jakby srogi Bóg z opowieści kapitana Ferenike, zaczął wypełniać swą zemstę także na papierze. Juan dziękował niebiosom za to, że zdążył przerysować najważniejsze elementy mapy do swojego notatnika. Jakież więc było jego rozczarowanie, kiedy, otworzywszy notatnik, nie dojrzał prawie nic na rysunku, który poczynił zaledwie trzy dni temu, a przecież ślad ołówka zwykle wytrzymywał miesiące. Bezzwłocznie założył powiększający monokl i zaczął wpatrywać się w zamazany kontur. To, co zdołał jeszcze dostrzec, przerysował ponownie, tym razem używając pióra i atramentu. Mimo, że nie odkrył cudownych miast, o których rozwodził się Reis, cień wiary w słowa tureckiego admirała jeszcze pozostał. Chciał mieć dowód, na wypadek gdyby postanowił kiedyś tu jeszcze powrócić. Mapa Piri Reisa była już czystym kawałkiem pożółkłego pergaminu, a rysunek, który sam de Calgo sporządził trzy dni temu ledwo przypominał projekt poczyniony ręką człowieka. Pozostawała nadzieja, że ślad inkaustu nie zniknie jak rys ołówka.

### **Trzy dni później. Statek Harmonia. Południowo – Zachodni brzeg Afryki.**

Juan de Calgo zaczynał rozumieć gniew marynarzy Ferenike. Zrozumiał, że tak naprawdę na mapie nigdy nic nie było. To dlatego kopie sporządzone ołówkiem i atramentem okazały się w końcu pustymi kartkami. Przeświadczenie, że podróżował tak długo, tylko po to, żeby się dowiedzieć o własnym obłędzie nie było przyjemne. Jeszcze bardziej irytująca była strata sporej części majątku, odziedziczonego po rodzicach, średniej szlachcie z Hiszpanii. Czary goryczy dopełniało zszargane dobre imię rodziny de Calgo, bo przecież marynarze widzieli krople potu na jego czole w pobliżu ogromnych lodowców Antarktydy. Nikt nigdy nie zapuścił się okrętem tak blisko antypodów Ziemi. Swoim majątkom musiał wydawać się szaleńcem. W swoich oczach również nim był.

### **Trzy miesiące później. Towarzystwo do Spraw Nauki we Florencji. Godz. 14.00**

– Czy naprawdę uważa nas pan, za ignorantów i bezbożników, panie de Calgo? Może i Ziemia została stworzona jako kula, ale jako kula skończona. W miejscu, które nam pan stara się nieudolnie nakreślić, nie może znajdować się nic poza bezkresnym oceanem, a nie jakaś wielka pokrywa lodowa, a tym bardziej żadna zamieszkała kraina. Czy studiował pan kiedyś na uniwersytecie oksfordzkim lub w Padwie? Nie? Co za szkoda. Ja uzyskiwałem tam najlepsze wyniki. Chyba nie zamierza pan ze mną dyskutować? – Jeden z profesorów zarzucił Juanowi niekompetencję.

– Nie podważam pańskiej wiedzy i tytułów, profesorze, tylko uważam, że powinien pan swoją opinię wydać po przeprowadzeniu szczegółowych badań na wskazanym terenie. Przecież przesłuchaliście marynarzy. Sami mówią, że jest tam niezwykle mroźnie – bronił się de Calgo.

– Cóż za impertynencja – oburzył się profesor. – Pan śmie dawać mi instrukcję? Nie będzie żadnych badań. Wyniki naszych analiz jednoznacznie wskazują na niemożność pańskich teorii, a o bajkach, które opowiadają marynarze, nie pierwszy raz dane jest nam słyszeć. To wierutne brednie i ja im posłuchu dawał nie będę.

– Podzielam zdanie profesora Toscani – włączył się do dyskusji kardynał Florencji. – A jednocześnie nakazuję panu, Juanie de Calgo, pokutę w postaci pielgrzymki do Watykanu, gdzie będzie pan przez tydzień kajał się ze wstydu przed obliczem Pana, prosząc o odpuszczenie grzechów.

– Tak jest – pokornie odparł przesłuchiwany.

### **Dziesięć minut później, po wyjściu de Calgo.**

– Kardynale – zaczął profesor Toscani – sprawa jest poważna. Ta mapa, o której wspominał de Calgo, nie jest pierwszym tego typu przypadkiem. Od lat krąży legenda, że jakiś człowiek podpisał pakt z samym Lucyferem a ten wskazał mu drogę do samego piekła. Ten człowiek, de Calgo, może być niebezpieczny. Oby nie spełniło się proroctwo o Szatanie Południowych Mórz. Słyszałem wielu marynarzy przyrzekających na Biblię, że tamtego kapitana, który podpisał cyrograf, piekło pochłonęło. Mówię waszej Eminencji, ten świstek papieru, którego de Calgo nie chce oddać, może być ukrytą mapą do wrót piekielnej czeluści! Może zniszczyć cały nasz świat! Radzę ją spalić, niech ziarno piekielne nie wzejdzie na niebiańskim firmamencie naszego władcy.

– Profesorze Toscani – z troską w głosie odezwał się kardynał. – Z największą przykrością muszę stwierdzić, że ma pan absolutną rację. Biedny chłopak nie jest winny tego, co się stało. To wina tego wścibskiego Araba, który przybył rok temu do Wenecji...

- Piri Reisa – odezwał się prefekt Florencji, przysłuchujący się do tej pory dyskusji w milczeniu – śledzili go wysłannicy papiescy, ale im uciekł. Podobno jego i tego neofitę Ramona de Vegę ktoś zasztyletował w jednej z weneckich karczm.
- Bogu niech będą dzięki – westchnął kardynał. – Proszę aresztować tego de Calgo, prefekcie.

### **Stambuł. Pałac sultana. Ta sama chwila.**

- Czy jesteście pewni swych słów, żołnierzu? – dopytywał się wysoki rangą urzędnik.
- Jak tego, że nie ma boga nad Allacha.
- To niezwykła przysięga zważywszy okoliczności – zauważył sultan. – Twierdzicie, że ten Juan de Calgo także odkrył tajemne wrota do ogrodów Allacha. Ale przecież według prorocstwa, miał to uczynić wnuk samego Mahometa – zdziwił się władca.
- Ależ panie – wtrącił jeden z imamów – przecież Piri Reis, którego z woli boskiej nie ma już na tym świecie, był pierwszym, który tam dopłynął. De Calgo tylko podążył jego śladem. Przepowiednia się sprawdziła.
- Ten gjaur musi umrzeć. Nikomu nie wolno nagłośnić tej sprawy. Gdyby któryś z niewiernych postawił stopę na świętych ziemiach Allacha, cały nasz świat obróciłby się w pył. Trzeba zniszczyć tę mapę i Juana de Calgo. Czy podejmiesz się tego zadania? – Sultan zwrócił się w kierunku swojego zaufanego człowieka.
- Oczywiście, najjaśniejszy panie – odpowiedział najemnik i po cichu się oddalił.
- Nikt nie może się dowiedzieć o tym co zostało tu powiedziane. Ta historia musi pozostać tajemnicą – zawyrokował sultan.

### **Kraków. Mieszkanie rabina Elizera. Ten sam moment.**

- Teraz wszyscy się dowiedzą. Jak mogłeś zrobić coś tak głupiego Szalomie?! Tak długo udawało nam się ukryć tę tajemnicę, a teraz wszystko zniweczone – rozpaczął rabin Elizer.
- Jeszcze najgorsze się nie stało. Wprawdzie źle oceniłem tego de Calgo, ale już wiemy, co potrafi. Teraz wyślę jego tropem prawdziwego mistrza – zapewniał długobrody chudzielec.
- A co zrobisz, jeśli wcześniej dopadnie go jakiś innowierca i on wszystko mu wyśpiewa. Wtedy wszyscy dowiedzą się o Naszym Nowym Jeruzalem. Nasza przyszła stolica, nasza arka przymierza zostanie zbezczeszczona – stary Żyd wcale nie czuł się uspokojony tymi zapewnieniami. – Oj, Szalomie, co my teraz pocniemy. Trzeba będzie kolejnych lat, aby zdobyć jedną z pradawnych map patriarchów. Gdyby nie ten de Calgo...

### **Cela Juana de Calgo.**

- Skrzypienie otwieranych drzwi celi obudziło skazańca. Odwrócił się i ujrzał przed sobą zakonnik. Juan de Calgo nie chciał rozmawiać z kapłanem. Nie wierzył już w nic ani w nikogo. Nikomu nie ufał. Jego pielgrzymka do Watykanu zanim jeszcze się rozpoczęła, zakończyła się na przegniłej wiązce słomy. A pokuta i kara wciąż były przed nim. Każde nieopatrzne słowo mogło uczynić je jeszcze sroższymi.
- Witaj – przemówił po włosku zakonnik. Hiszpanowi rzucił się w uwagę nietypowy orientalny akcent gościa. Znał ludzi mówiących tym akcentem. Pochodzili z Indii. De Calgo przyjrzał się dokładnie spowiednikowi. Miał wyjątkowo jasną jak na Hindusa twarz a oczy poczerwieniałe i zapuchnięte, jakby nie spał co najmniej od tygodnia
  - Nie jesteś zakonnikiem – odezwał się zaniepokojony de Calgo. Gość uśmiechnął się z przymusem.
  - Rzeczywiście nie jestem. Jesteś bardziej spostrzegawczy niż strażę – odparł.
  - Kim jesteś i czego chcesz? – zapytał napastliwie Hiszpan.
  - Jestem po twojej stronie. Wiem, że nie zasługujesz na ten los, ale musisz mi uwierzyć, że wielu umiera przedwcześnie i niezasłużenie. Czasem tak a nie inaczej splatają się wydarzenia. – Tym razem Hindus uśmiechnął się bardzo smutno. – Mapa, którą dostałeś od Reisa – zmienił temat, ale w jego głosie wciąż dzwoniło współczucie. – Legendarna mapa Krainy Wiecznych Mroźów. Chciałbym, abyś mi ją oddał.
  - Towarzystwo naukowe ją zarekwirowało – skłamał Juan de Calgo.
  - Obaj wiemy, że to była kopia – spokojnie powiedział fałszywy zakonnik. – Musisz mi zaufać. Nie jestem chrześcijaninem i nie uważam, że ta mapa to dzieło szatana. Ludzie nie mogą zrozumieć, dlaczego ona istnieje i co pokazuje. Trzeba ich uchronić przed prawdą do chwili gdy nadejdzie właściwy moment. O ile nadejdzie. Jedyne, czego teraz chcę, to przechować ją bezpiecznie.
  - Nie mam jej przy sobie. Oryginał ukryłem na jednej z wysp. Na wszelki wypadek pozbyłem się jej. Przynosi kłopoty. To tylko kawałek pożółkłego pergaminu, ale jonasz nad jonasze...

– Nic takiego. Jeśli przestajesz wierzyć, to przestajesz dostrzegać to, co ona wskazuje. Dlatego po czasie wydaje się bezużyteczna. Sam słyszałem od twoich marynarzy, że na okręcie miałeś symptomy objawienia.  
– Objawienia? – zadziwił się de Calgo – To był tylko szok i obłąd.  
– Dla jednych jest to szok i obłąd, dla innych najgłębsza prawda. Wszystko jest umowne, tak samo jak nasz świat, nasze życie i nasza śmierć. Byt nie istnieje i niebyt nie istnieje. Jest tylko to, co kryje się na dnie twojego umysłu, przyjacielu – powiedział Hindus. – Oddaj mi mapę. Katolicy, żydzi, muzułmanie... najwięksi wśród nich posłali już swoje sługi by ją dostać. Komu możesz zaufać? Komu zaufasz?

### **Rynek Florencji. Dzień później. Godz.12.00**

Juan de Calgo z dumą wypisaną na twarzy szedł przed siebie na stos, pośród wyzwisk tłumu. Świat wydał mu się karuzelą, na której jeżdżą Szatan i Bóg, obracając się dookoła i podsycając ignorancję, nietolerancję i zawiść. Nie było żadnego zbawienia. Tylko ogień i śmierć.

Płomienie sięgnęły już szat młodego hidalgo, ale on nawet nie krzyknął, nie jęknął, w jego twarzy i spojrzeniu nie było ani strachu ani bólu. Nagle zrozumiał, o czym mówił Hindus w jego celi, a czego dotąd nie mógł pojąć. Prawda zawarta na mapie objawiała się tylko w chwilach skończonego zawierzenia, tylko w momentach, kiedy było się przygotowanym na coś niezwykłego. Żadna z religii nie miała monopolu na prawdę. Istniało tylko niejasne poczucie, że coś nadprzyrodzonego gnieździło się w zakamarkach podświadomości i że każdy kto chciał wierzyć w cuda znajdował je, a kto nie chciał, miał całą masę dowodów, że ich nie ma. Juan de Calgo zrozumiał, że mapa była zarazem zamazana i przejrzysta, że on jednocześnie żył i nie żył. Karuzela różnych światów i wymiarów to przyspieszała, to zwalniała przed jego oczyma. Kiedy piękne, czarne włosy zamieniły się w pochodnie, Juan de Calgo wzdrygnął się. Zrobiło mu się nagle chłodno, jakby zapomniał ubrać płaszcz w grudniowy wieczór. Zamiast gniewnego pospólstwa widzi wspaniale bawiące się dzieci, a za ich plecami, zamiast wyniosłej katedry stały pałace ze złota. W ostatniej chwili Hiszpan rozwiązał zagadkę. Dostał objawienia.

*Bydgoszcz, 2003-08-25*